

Stanisław Szczotka

Pierwsza redakcja "Listopada" Rzewuskiego

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 33/1/4, 866-883

1936

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PIERWSZA REDAKCJA „LISTOPADA“ RZEWUSKIEGO

W zbiorach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie zachował się pod sygnaturą *Manuscripta Nr. 901, 902 i 903* trzytomowy rękopis *Listopada*, ofiarowany przez Rzewuskiego Ossolineum w 1846 r., o czym świadczą notatki zamieszczone na kartach tytułowych tomu pierwszego i trzeciego: „Pierwszy raptularz ofiarowany od autora Zakładowi Ossolińskich przez kuratora J. O. Xięcia Henryka Lubomirskiego 1 Augusta 1846“ i druga: „Autor pierwszy raptularz ofiaruje Zakładowi Ossolińskich przez kuratora J. O. Xcia Henryka Ossolińskiego 1 Augusta 1846“. Oprawne w półskórek i zachowane w dobrym stanie tomy rękopisu różnią się między sobą wielkością; tom pierwszy o wymiarach 17.5 na 21.5 cm liczy 384 strony, w czym 16 pierwszych nienumerowanych i 368 numerowanych od 1 do 367, gdyż Rzewuski oznaczał tylko strony nieparzyste 1, 2, 3 i t. d.; drugi o wymiarach 20 na 23.5 cm liczy 424 strony ponumerowane od 26 do 450, przyczem do s. 306 oznaczał autor tylko strony parzyste, a następnie już tylko nieparzyste; trzeci o wymiarach 21.5 na 25 cm liczy 168 kart oznaczonych za porządkiem, 11 nienumerowanych kart czystych i 1, na której znajdują się własnoręczne notatki Rzewuskiego, m. i. przepis na gotowanie zup dla 5 osób na przeciąg całego tygodnia. Pismo rękopisu bardzo spokojne i równe, skreśleń i poprawek mało.

Bliższe rozpatrzenie treści rękopisu przekonywa, że jest to jedna z wcześniejszych redakcyj powieści, najprawdopodobniej pierwsza, znajdujemy bowiem w niej pewne różnice, które przy wykończeniu *Listopada* do druku uległy większym lub mniejszym przeróbkom. O tem, że rękopis jest pierwszą redakcją powieści, świadczą również notatki dotyczące proveniencji rękopisu, w których jest on nazwany „pierwszym raptularzem“. Z tego też względu zasługuje rzeczony rękopis na obszerniejsze omówienie, dorzuca bowiem do genezy powieści pewną ilość nowych szczegółów, świadczących o tem, że plan powieści w miarę postępu pracy autora ulegał pewnym zmianom konstrukcyjnym i stylistycznym.

W pierwszym tomie rękopisu zaraz na wstępie uderza brak przedmowy autora, znajdującej się w wydaniu książko-

wem powieści, a datowanej z Petersburga dnia 14 (26) czerwca 1845 r. Rozpoczynając pisanie powieści, planował jednak Rzewuski zamieszczenie przedmowy, o czym może świadczyć celowe pozostawienie 16 niezapisanych stron na początku tego tomu. Powieść rozpoczyna się pierwszym rozdziałem, który jednak nie posiada, jak zresztą i wszystkie inne rozdziały rękopisu za wyjątkiem listów, osobnych tytułów, położonych dopiero później z okazji druku. Rozdziały IX i X (pierwszy i drugi list starosty do księcia generała Ziem Podolskich) oraz rozdział XV (list starosty do hr. Mycielskiego) nie istnieją, dopisał je Rzewuski po ukończeniu tomu pierwszego na początku następnego. Pisząc jednak tom pierwszy, miał je już w planie powieści, co widać z numeracji rozdziałów, gdyż po rozdziale VIII następny jest oznaczony jako XI. W ostatecznej redakcji przed oddaniem powieści do druku list drugi starosty do księcia generała Ziem Podolskich uległ większej przeróbce, autor bowiem usunął znaczną jego część z bardzo ciekawą charakterystyką członków dyssydenckiej konfederacji słonimskiej, w której utworzeniu Ludwik Strawiński odegrał dość znaczną rolę. W świetle tej charakterystyki konfederaci przedstawiają się jako zbieranina ludzi o dość podejrzanej wartości etycznej, którzy z powodów czysto osobistych, a nieraz bardzo błahych, nie będąc sami dyssydentami i nie zastanawiając się nad istotnym celem związku, zaciągnęli się w jego szeregi. Dosadną tę charakterystykę, zamieszczoną w drugim tomie rękopisu na s. 36—73, przedrukujemy w całości poniżej.

„Izabellin, dziedziczny zamek rodu Grabowskich, jest teraz centrum opozycji antymagnackiej. Ta opozycja, Bogiem a prawdą, liczebnie nie jest wielką, gdyż tu szlachta ogólnie wierzy swoim magnatom, ale jakkolwiek bądź nie jest do odrzucenia, bo jest jedyną, co ją teraz mieć możemy w narodzie, w którego imieniu przynajmniej działamy i działać będziemy. Grabowski to wszystko ściąga do siebie, kadzi im w żywe oczy, przywiązuje ich do siebie, bo do tego mistrz, to prawda, że jak mu znikną z przed oczów, drwi z nich, że aż miło. Ale, bo co też to za karykatury wielkiego świata, ci parafjanie, co usiłują na prowincji przedstawić młodą Polskę i ducha reformy! Podczas mojego pobytu trzydniowego w Izabellinie było dużo podobnych figur. Byli tam najcielejsi kalwini, ludzie światli, dobrego wychowania i którzy wiedzą o co im chodzi, ale ta pseudo-patrjotyczna partja, co się wiąże do nich, sama nie wiedząc po co i na co, tyle powiem o jej koryfeuszach, że nasz Grabowski już wielce zasłużony królowi, choćby tylko za to, że z nimi przystaje. Jest to wielka ofiara, Wasza Książęca Mość wyobrazić sobie nie możesz, co też to za karykatury. Ledwo który z nich ogoli wąsy, zapuści włosy i poważny kontusz zamieni na coś podobnego do naszej sukni, już z litością patrzy na całą masę obywatelstwa. A jeżeli do tego klepie kilka słów francuskich wymową furmańską, ma siebie za wielkiego męża.

O wszystkim stanowi, wszystkiemu przygania, dziwuje się, że dotąd król jego nie wzywa do rady. Bo trzeba wiedzieć, że główna cecha parafjanów jest w tym, iż im się zdaje, że wszędzie o nich wiedzą i niemi się zajmują.

Jak się ta trzoda dowiedziała, że jestem na czele gabinetu królewskiego, każdy z niej do mnie się lepił, a tak szczerze, że odlepić się byłoby mi trudno. Każdy prał na pazury, by mi dać wysokie wyobrażenie o swoim rozumie, bym w czasie mógł królowi przedstawić, że i w zapadłej Litwie są między młodzieżą wiele ludzkie ukryci, których przecie można wyszukać. A ja ciągle udaję zdumionego, widząc dowody tak wysokiego światła i słysząc tak głębokie zdania. I rujnuję się w obietnicach, od tych półgłówków przyjmowanych za gotowe pieniądze.

To jeszcze mało, że trzeba słuchać ich słownych niedorzecznościów, trzeba jeszcze wskazać uszy na słuchanie ich pism. Bo, że król lubi nauki i zachęca uczonych do pisania, aby z czasem i u nas mogła zakwitnąć literatura narodowa, manja pisarska wszystkich prawie ogarnęła, jedni przekładają wiersze francuskie na wiersze polskie, chociaż często ani jednego ani drugiego języka nie umieją, drudzy rymują niby oryginalne częstochowskie madrygały, inni i to są najstraszniejsi, co sypią mowy, rozprawy, pochwały, uwagi polityczne, jakoby przybrali sobie za gołdo te dwa wiersze:

Un vers coute à polir, et le travail nous pèse
Mais écrivant en prose, on est sot à son aise.

O, mój Boże! co też za powódź głupstw! Biedne uszy moje, biedniejsze jeszcze uszy Grabowskiego, co tego ciągle słuchać musi. A każdy ma napięty gotowy projekt, który niezawodnie Ojczyznę na najwyższy szczebel postawi, jeżeli tylko zostanie przyjęty. Muszę też księciu niektóre figury tego zgromadzenia przedstawić.

Pan Deręgayłło, Żmudzin, straciwszy szczupły majątek po rodzicach spadły, wisiał jakiś czas przy dworze księcia Panie Kochanku, ale gdy dano mu *consilium abeundi* za to, że księdzu Katenbryngowi niegrzeczności nagadał, poprzedawał swoje pasy i przebrał się na codzien z kiepska po węgiersku, a na galę niby po francusku, wszakże jednak wąsy zachował dla marcejalności oblicza, na którym co wyraziściej się maluje, głupstwo, czy bezczelność, trudno zgadnąć. Zdaje się jednak, że w zupełnej równowadze oba się mieszają. Pan Deręgayłło został *un esprit fort*, a do tego *un crane*. Jest sędzią wszystkich spraw honorowych młodzieży nowomodnej, jest sekundantem przyrodzonym wszystkich poronionych pojedynków i sam byle o co na pojedynkę wzywa. Zdarza mu się nawet zawczasu układać listę wszystkich, których zamysła zaczepić, i takowe listy bywają czasem dość obszerne. Jedna z takowych dostała się Grabowskiemu i on mnie ją zakomunikował. Przepisałem ją, bo ona zawiera aż dziesięć przyszłych ofiar jego męstwa:

1 mo. Pan Jan za to, że go afrontuje, jadąc w kolasie na pasach, kiedy on przynajmniej równy jemu, na wózku węgierskim odbywa podróż.

2 do. Pan Piotr za to, że kiedy go prosił o pożyczanie kilkadziesiąt złotych na dwa tygodnie, zaręczając go słowem honoru, że mu się na terminie uiści, odmówił mu tej przysługi, jakby jego słowo honoru nie było hipoteką dostateczną, choćby na największą sumę.

3 tio. Pan Gerwazy za to, że wiedząc dobrze, ile pan Piotr mu chybił, podał mu jednak rękę, witając się z nim po przyjacielsku.

4 to. Pan Tadeusz za to, że się nie śmiał z jego conceptów, a nawet siedząc obok niego w jednym zgromadzeniu, w środku opowiadania jakiejś dykteryjki, właśnie kiedy był w największym sztosie dowcipkowania, wstał ze swojego miejsca, żeby się witać z przybyłymi damami.

5 to. Pan Romuald za to, że kiedy w kościele zbliżył się do niego, żeby mu jakieś anegdotki opowiadać o jednej poważnej damie, ten go prosił, żeby mu nie przeszkadzał słuchać kazania.

6 to. Pan Mateusz za to, że mu nie dopuścił polować na jego gruntach.

7 mo. Pan Fabjan za to, że kiedy go prosił, by jechał za nim w swaty do pani podczaszyny, on się z tego wymówił.

8 vo. Pan Jozafat za to, że kiedy się strzelał z panem Wojciechem, jego nie prosił na sekundanta.

9 no. Pan Dominik za to, że nigdy mu nie mówi ty, tylko wpan dobrodziej.

10 mo. Pan Cyprjan za to, że w Zelwie na jarmarku, kiedy dawał wielki obiad dla JW pisarza wielkiego litewskiego, jego na ten obiad nie zaprosił.

Widzi książkę, że lista ucziwa. Grabowski, który w życiu swoim, nie powiedział nikomu niegrzecznego słowa, ale nigdy głosu nie podniósł, a odbył przeszło trzydzieści pojedynków na ostre, tak się ucieszył tą listą, że aż ją sobie przepisał.

I cóż — zapytałem — czy choć jeden z tych pojedynków przyszedł do skutku. — Gdzietam — odpowiedział Grabowski — to wszystko są tylko osnowy do gadania i do przechwałek, co tydzień podobna lista się układa. Jego wyzywania służą na patent długiego żywota. Na jego szpadzie śmiało można napisać piąte przykazanie. Jego gwałty są straszniejsze od jego wyzywań.

— Jakie gwałty?

Oto skaleczenie żyda, podpalenie karczmy, porąbanie kół od wózka żyda, na którego się gniewa.

— I cóż na to mówi sprawiedliwość urzędowa? Wszakże macie grody!

— Cóż grody mogą poradzić? Pan Deręgayło, mając przyjaciół, z ich uczynności ma usługę, jeden mu daje poddanego na furmana, drugi na lokaja. On im rozkazuje zrobić jakiś gwałt. Potem o to się wytacza sprawa, której rozwiązanie, że sług gród

każe wychłostać, a panu nic, bo żadnych literalnych dowodów odkazać nie można, by on dał rozkaz na podobne bezprawia.

— Cóż ci przyjdzie z tego, że wchodzisz w stosunki z podobnym niecnotą? Na co ci się on przyda? — Nie wiesz, że to jest osoba ważna między młodzieżą pewnego rodzaju. On jej wszystkie sprawy honorowe układa, on ją uczy burdy robić bez narażenia życia i zdrowia, rzecz bardzo wygodna. Oni też go mają za bohatera i w nim czczą swój własny ideał. Mając go po sobie, można liczyć na kilkadziesiąt krzykaczy gotowych, a gdzie jest wiele krzykaczy, zaraz jest pozór siły. A pozory są wszystkim. Proszę cię, bądź grzecznym dla niego, bez wielkiego zachodu go ujmiesz. Słuchaj tylko cierpliwie jego facecijek i opowiadania jego heroiczych czynów po jarmarkach i po karczmach, a z nim zrobisz co zechcesz.

W samej istocie, Mości Księżę, zupełnie go podbiłem poświęceniem moich nieszcześliwych uszów. Ale niestety, czego też nie musiałem się nasłuchać! A jaki ton osobliwszy? A co się odezwie z jakim głupstwem, kilku jego zwolenników, co za nim jak cień chodzą, w uniesieniu nad jego dowcipem potakują, a śmieją się, a pyszną się z jego przyjaźni, w przekonaniu, że on ich na wielkich ludzi wykieruje. Że mu się noga powinęła na dworze magnackim, jest największym demokratą, piorunuje na wszystkich panów, na fanatyków, na szlachtę, która w worku dusi pieniądze, zamiast puszczania jej w obieg z młodzieżą jarmarkową, na której się opiera całkowita nadzieja Ojczyzny. Ja też wielce chwaliłem roztropność jego zasad, dałem mu do poznania, że król JMć, chcący dla dobra kraju poniżyć arystokratów i wyleczyć naród z fanatyzmu, szuka podpór dla swoich zamysłów, że jak tylko konfederacja się zawiąże za tolerancją religijną, on może być wielce królowi pożytecznym, skłaniając do niej młodzież, która tak słusznie jemu ufa. Że wtedy król nie omieszka postawić go na stanowisku, skąd jeszcze skuteczniej zdanie jego będzie mogło wpływać.

— Mości starosto, — powiedział mi — wszystko będzie dobrze, tylko panom trzeba majątki odebrać, a niemi poobdzielać ludzi dobrze myślących. A potem, na co ci księża, co tylko zabobony rozsiewają po szlachcie i tuczają się na ogromnym duchownym chlebie? Wszystko to porozpędzać, a na ich miejscu ustanowić urzędników, którzyby uczyli gmin katechizmu obywatelskiego. Prędzej każdy zrozumie, że trzeba być dobrym obywatelem, patriotą, niż to, co mu plotą o Trójcy świętej, o odpustach i tym podobnych; a majątki duchowne oddać ludziom poeciowym.

A ja tylko podziwiam trafność jego widoków i mogę powiedzieć, że go mam w kieszeni, chociaż mam urzędy, order, dobra własne i królewskocyzny i piękny ekwipaż. To tryumf nielada!

Pan Katulewicz, oryginał bez kopji, którego miałem zaszczyt poznać, jestto obywatel, gospodarz, architekt, trefniś, w potrzebie poeta epigramatyczny, a nadewszystko filozof. W Królewcu, chodząc z bajdakiem ojca, złapał jakiegoś marzyciela Niemca, który

go nauczył wielkich arkanów filozofji i za jego radą wywiózłszy kilka książek, przybrał godło i postać filozofa. Włosy czesane raz w rok około Wielkiejnocy, żabot zatabaczony, suknia poplamiona, obuwie okurzone, wszystko na mocy zasady od niego przyjętej, że materja ustąpić musi duchowi. Między parafjanami uchodzi za mądrego, a że sam jest wielkim parafjaninem, więc te ich zdanie o sobie podziela. Wpadłszy w jego ręce, około godziny nasłuchałem się jego erudycji. Dowiedziałem się od niego, że on jest reprezentantem reformy ducha w Polsce. Oddaje on sprawiedliwość obyczajom staropolskim, przyznaje swojemu narodowi wiarę, cnoty, wysokie zdolności, ale, że te wszystkie żywioły potęgi i szczęścia zostały sparaliżowane, to dlatego, że w nim nie było filozofji, któraby te rozrzucone promienie skupiła jak w soczewce do zapalania fajki. Całą nadzieję pokłada na królu, bo chociaż go nie uważa być uzupełnionym filozofem, jednak zgadza się na to, że jest dostatecznie przygotowany do tej wielkiej nauki.

On się wybiera do Warszawy i prosił mnie o listy zalecalne i te mu przyrzekłem. Ma on gotowy projekt do nieomylnego odzyskania avulsów Rzeczypospolitej. Książę, pomimo wysokiego swego rozumu, nigdybyś się nie domyślił jaki. Nic innego, tylko zaprowadzenie kilku szkół filozofji. Bardzo gruntownie mnie dowodził, że Czarniecki, Jerzy Lubomirski, Rewera Potocki i Sobieski byli wielcy wojownicy, to też świetne zwycięstwo otrzymali, ale że nie umieli filozofji, więc traktaty, które po ich wojnach następowały, nie były korzystne dla Rzeczypospolitej; że Grzymułtowski nie był filozofem, jakim był car Michał Teodorowicz, dla tegoż traktat, co go z sobą zawarli, był na korzyść ostatniego; że Piotr Wielki był wielkim filozofem, a Karol XII wcale nie, to też pierwszy Inflanty dla siebie, a Kamieniec dla sprzymierzeńca zyskał, a drugi nieszczęśliwie skończył.

Po tak gruntownym wprowadzeniu rzeczy zapytał mnie, jak też król przyjmie ten jego projekt. Najuprzejmiej odpowiedziałem: bez wahania, jeżeli przez uprawę filozofji można robić podboje, uręczam, że Stanisław August będzie Aleksandrem Wielkim swego okresu. Na co się przyda wojsko i napieranie się podatków od obywateli na jego utrzymanie, (a książę wiesz, jak ten wyraz podatek jest u nas niesmaczny), kiedy kilka piór wszystko zastąpić może. Jak widzę, ocalenie Kapitolu przez gęsi jest to symbol, którego znaczenie dopiero pan Katulewicz objaśnił. Jak pojedzie do Warszawy, to to pszeniczka się urodzi dla Waszej Książęcej Mci. Jednak, jak mi mówił Grabowski, jego przeniesienie się do stolicy jest bardzo problematyczne, gdyż on, bojąc się, żeby nie wszedł do grobu, nie zostawiwszy dla dalszego oświecenia rodaków podobnego sobie potomka, jest trapiiony chorobą posteromanji, tak dalece, że żadnej panie na wydaniu pokoju nie daje. A że jego część umysłowa nie tyle panny przywabia, ile część materjalna je od niego odpycha, więc pokolei dostał z tuzin rekuzów we wszelkiej formie.

Wszakże ponieważ ludzie, co zawsze stawiają na loterję, kiedyś zgadują numer jakiś z koła wychodzący, przeto niepodobieństwo, żeby od jednej do drugiej ciągle nacierając swojemi ofertami, nie trafił nakoniec na taką, która bojąc się, by Pan Bóg o niej nie zapomniał, mniejszy uczuje wstręt do jego osoby, niż do celibatu. Natenczas ucieknie nam jego podróż do Warszawy, a szkoda, bo nasza koterja jego kosztemby się nabawiła.

Pan Sniłko, tytułujący się i tytułowany od drugich rotmistrem, jest także niepospolitą figurą między tą młodzieżą. Jestto poezja chodząca; chociażby w najpotoczniejszej rzeczy, nigdy kawałka prawdy w życiu swoim nie wyrzekł, jest to taki wyznawca kłamstwa, taki prawdofob, że w czasie żniwa gotów powiedzieć, że saniami przyjechał. Stąd jego historia, jak posąg Janusa, ma dwa oblicza: jeden rzeczywisty, drugi opowiadany od niego, a tak często powtarzany, że już nabył wszelkich warunków rzeczywistości, on sam już sobie uwierzył i gotów przysięgę wykonać na to, co kiedyś wymarzył.

Grabowski opowiedział mi rzeczywistość jego żywota. On jest rodowitym Białorusinem, ale mając stryja bezdzietnego komisarzem klucza ladyżyńskiego na Ukrainie, ten jego wził do siebie dzieckiem i nim się opiekował. Rozmaite psoty mu odpuściwszy, a myśląc, że się panicz opamiętał, posłał go do Wrocławia za zgonem wołów, ale pan Sniłko sprzedawszy dobrze stryjowski towar, wszystkie pieniądze w karty przegrał, nawet aż do odzieży własnej, i z desperacji przystał do freikurów pruskich, gdzie natychmiast otrzymał stopień wachmistrza. Ale po dwuletniej niespełna służbie, kiedy wojsko cesarskie zaczęło ciągnąć naprzeciw króla pruskiego, on przewidując, że to będą nieprzełiwki, a jako rostopny człowiek, nie czując się w obowiązku łąba nadstawiać dla cudzej sprawy, przechodząc blisko granicy polskiej, uciekł z koniem i z kilkudziesięcią talarami, które jemu dowódca szwadronu był powierzył, żeby oddychać ojczyzynom powietrzem.

Żył sobie czas niejaki w Warszawie na budżecie gościnności pańskich dworów, a pamiętny na przysłowie starodawne: *Dum finis bonus, laudabile totum*, zachował ostatnią sylabę godności swojej, pierwsze nieco przekształciwszy i tym sposobem z wachmistrza postąpił na pana rotmistrza i sam sobie dał urząd introduktora do wielkiego świata młodej szlachty z prowincji przybyłej do stolicy. Tym sposobem poznał się z kilku Litwinami, a jednemu z nich zrobiwszy przysługę, bo gdy w jednym domu był przegrał na słowo kilkaset złotych, zrobił mu interes z jednym kapitalistą, który za niego opłacił dług honoru za niewielki procent dwa od sta na tydzień. I tak sobie tym zobowiązał młodego, a majątnego marnotrawnika, że ten go wywiózł z Warszawy na Litwę, wszędzie przedstawując pana rotmistrza wojsk pruskich jako najściślejszego przyjaciela.

A pan rotmistrz wygodnie sobie żyjąc, bo z trzech źródeł czerpał zabezpieczenie tych wygod, Ćwik, Kwincez i przyjaźń

kilku młokosów, nakoniec znalazł wdowę nieco podżyłą, ale dożywotnią i oprawną, panią na dwóch folwarkach, którą tak zniewolił groźnemi swojemi wąsami i opowiadaniem bohaterских czynów swoich na wojnach zagranicznych, iż pomimo perswazjów całej swojej rodziny, została z regentowej rotmistrzową.

W czasie obiadu nikogo nie było tyle słyhać, ile jego i przyznam się Księciu, żem się ubawił jego naracjami. Nie popisywał się siedmioletnią wojną, która jest jego bachmatem bojowym, bo się dowiedział, że ja ją odbywałem, więc oglądając się na mnie, na tym stanowisku wystrzegał się bujać. Ale za to były na placu jego pojedynki, romanse i podróże po Indjach. On ma jeden palec od ręki zgnieciony, domyślam się, że go musiał kiedyś między wrota od jakiejś szynkowni włożyć, a wrota się zniemacka zamknęły. Ten palec mu teraz służy za *piece de conviction* długiej bardzo historii, jak to na jednej wyspie, gdzie skał niema, tylko ze szmaragdów, rubinów i krwawników, wylądowawszy, napadniętym został przez wyspiarzy, którzy nań chmurę strzał wypuścili, on rękami zasłaniając twarz, jakby puklerzem, w palec ugodzonym został. Dopiero wywiązuje się dalsza *peripezia* tego wielkiego dramatu, jak po bitwie, gdzie sam jeden walczył przeciwko kilku tysięcy, pojmany został i miał być zarżnięty na ofiarę bożkom tego narodu, ale królowa, która władała tym narodem, w nim się zakochawszy, nie tylko, że mu ocaliła życie, ale nawet podzielała z nim łożę i rządy narodu. I tak najszczęśliwsze życie prowadził i do dziś dniaby panował w kraju szmaragdów i rubinów, gdyby nie tęsknota za kochaną Ojczyzną.

Pod pozorem przejażdżki morskiej uciekł ze swego państwa i dopiero aż w Malcie się oparł, skąd wielki mistrz swoim kosztem do Polskiej go wyprawił.

Druga historia, którą opowiadał, jeszcze lepsza. Jego stryj, wedle jego relacjów, nie jest komisarzem dóbr pańskich, ale sam wielkim panem na szerokich włościach ukraińskich. Unosił się nad jego szczęściem:

— „Miarkujcie państwo i to, co wam opowiem, że jest prawdą, to honorem ręczę. Popod oknami domu stryjowskiego od strony dziedzina był ogródek na parę sążni szeroki, a w nim same róże, a między niemi jakiś krzew, którego nikt nazwać nie umiał. Jednego razu przyjeżdża do mojego stryja jakiś bogaty kupiec holenderski, którego komisanty często u nas bywały za kupnem wosku, łoju i potaszu, ale on pierwszy raz, — pamiętam, jakby to się stało wczoraj, bo już byłem wyrostkiem. — Opasły to był Niemiec, w sukni aksamitnej, a guziki — ogromne brylanty. Ledwo opowiedział swoje nazwisko, mój ojciec uradowany nie wiedział jak przyjąć gościa, z którym na miliony robił interesów.

Zaczął go oprowadzać po swoim gospodarstwie, aż jakoś zastanowił się przed tym ogródkiem, co był popod oknami domu, i pokazując trzcina ten krzew, co był między różami, powiada mojemu stryjowi: — Co Wpan chcesz za ten krzew, ja go chcę ku-

pić. — Ja to biorę za żart, a krzewów nie sprzedaję, ani nawet ceny nie umiałbym im naznaczyć.

— Ja wcale nie żartuję i jeżeli pan zechcesz mnie tego krzewa odstąpić za 25 zł., z wdzięcznością je panu odliczę.

— A daj pan pokój — powiedział — co mam się łakomić na 25 zł. — Niemiec zaofiarował 50 i w miarę wahania się mojego stryja, coraz podnosił wyżej kwotę, aż na końcu, gdy powiedział: dam WPanu 10000 zł., mój stryj, wszystko to biorąc za żart, odezwał się: a już ci to ledwo nie dwakroć sto tysięcy. Daj je WPan, kiedy je masz, a zabierz sobie całkowity krzak, a ja za niego kilka wsi kupię. — Kupiec pobiegł natychmiast do oficyny, gdzie miał swoją kwaterę i stamtąd kazał do ganku włożyć beczułkę, odbił sam od niej wieko i wydobył dwadzieścia woreczków, a w każdym z nich 500 zł. pod jednym stemplem. Mój stryj tylko jeden worek otworzył, a innych nie rachował, bo mógł śmiało się spuścić na uczciwość Holendra.

Aż ten odezwał się: więc ten krzew jest moim? — A tak, na to mój stryj, niech WPanu służy. — A kupiec natychmiast kazał wykopać krzewinę z korzeniami i własną ręką na drobne kawałki ją porąbał i to wszystko w ognisko kuchenne rzucił, mówiąc: dopiero jestem szczęśliwy, żebyś WPan ode mnie miljon zażądał, aniby się wahał jemu go odliczyć, bo to jest krzak pieprzu. Nie pojmuję jakim sposobem on tu mógł wyrósć, bo my każde ziarnko pieprzu wygotowujemy, a żeby nigdzie rosnąć nie mógł. Widno, że ptak musiał go z dzioba wypuścić koło domu pańskiego, lecąc z wysp pieprzowych ku północy. Żebym nie był zniszczył tego krzewa, z czasem całkowity handel pieprzowy mógłby się dostać Polakom. — I uradowany kupiec natychmiast odjechał“.

Nieprawda, Mości Książę, że to jest poezja nielada, zwłaszcza dla człowieka, który oprócz kalendarza nie drukowanego w rękę nie miał?

Wiesz Książę dlaczego on się zaciągnął pod chorągwie mal-kontentów? Oto dlatego, że arystokraci, szefowie pułków i rotmistrze kawalerji narodowej na usilne zabiegi jego, aby mógł otrzymać w wojsku komputowym tenże sam stopień, jaki niby posiadał w wojsku pruskim, jakby się zmówili z sobą, każdy mu to samo mówiąc: a niech no pan złoży abszyt z tego wojska. Naprózno się tłumaczył pan rotmistrz, że dlatego okazać go nie może, że książę panujący Anhalt Dessau, pułkownik jego, gdy odważył się powiedzieć publicznie, że Polacy są bez mózgu, on ujmując się za swoim narodem, wyzwał go na pojedynek; że książę spudłowawszy do niego, on Niemca na miejscu zabił. A tak księcia panującego sprzątnawszy, musiał uciekać i innego dowodu swojej rangi złożyć nie może, oprócz rękojmi słowa honoru, niczym nieskalanego. Ale ta ewikcja dostateczna, by otrzymać od braci szlachty pieścący jego uszy wyraz — panie rotmistrzu — jakoś do przekonania tych arystokratów, co mają wpływy na organizacją wojska, nie trafił.

Wszakże z Grabowskim robimy mu wielkie nadzieje, bo i on wrzaskliwym swoim głosem, oraz bezczelnością niczym niezmienszaną może nam być na obradach wielce pożytecznym.

Poznałem tam trzech braci Sopoćków, wielce krzykliwych, wielce ceniących swój własny rozum, wielce pogardzających cudzemi rozumami. Ich ojciec był cnotliwym prawnikiem, oszczędnym, pobożnym, skromnym; zostawił im majątek uczeiwy, a krwawo zapracowany. A niczego nie żałując na wychowanie dzieci, przyjął do nich jakiegoś Francuza, który ich ukształcił. Od tego zaczęli, że zaraz po śmierci ojca się przebrali i z nowym ubiorem przejęli się wzdargą dla staroświecczyny, a największym zapalem do nowości. Są to najpociesniejsze figury, jakich mi się kiedykolwiek zdarzyło napotkać. Dwaj młodzi bracia są ludzie piersi niemordowanych, bo ciągle wrzeszczą, a nikt ich nie widział ochryplemi, a w przytomności innych ciągle z sobą się sprzeczą w zawodzie naukowym. I także są beletryści, więc jeden z nich na przykład szermuje językiem za literaturą grecką, drugi naturalnie za łacińską. Wszystkie komunały, jakie szkolne żaki na pamięć umieją, sypią jakoby koncepta z ich mózgownicy wylęgte. Stanowią jako *iudices competentes* o wszystkich sławach autorskich w kraju i za krajem, widzą wielkie zaćmienie światła publicznego w tym, iż jeszcze dość nie mają w narodzie wziętości, gdyż nikomu nad sobą wyższości nie przyznają oprócz starszemu bratu, głowie całego rodu Sopoćków, który ma być wielkim statystą.

Poznałem tę karykaturę, siedzi napuszony, gada sentencjami, każde słowo przez siebie wyrzeczone popija kawą, lub czeka skutku, jaki po nim nastąpił na słuchaczach, półminutowym przynajmniej milczeniem, a zawsze jest sam swoim najważniejszym słuchaczem. Gadał on do mnie więcej godziny, a z całkowitego jego dyskursu niczego innego skleić nie mogłem, tylko, że chce być kasztelanem, i że jak nim zostanie, dopiero Ojczyźnie pokaże co umie.

Uważa książkę, że nie ja jeden palę się do tego dostojenstwa, a nawet pan Sopoćko starszy. Składał przede mną niezaprzeczone prawa, które ma do senatorskiego krzesła, a te są:

1 mo, iż jest głową licznego rodzeństwa, którym gwoli kieruje; *2 do*, iż w swoim życiu około dwunastu kompromisów oszczędził; *3 tio*, iż ciągle bywając na obradach publicznych, zawsze w nich się wslawił dojrzałą i kwiecistą wymową; *4 to*, że w okresie, kiedy król uczony wszelkich przykłada usilności, ażeby w Polsce nauki wskrzesić, on jest autorem kilku dzieł znakomitych, które swoim kosztem drukiem ogłosił. I na poparcie swojego twierdzenia raczył mnie obdarzyć po jednym egzemplarzu każdego swojego dzieła. Tak tedy trzy tomy z jego łaski wzbogaciły moją bibliotekę. Kazałem mojemu Korendowiczowi odczytać te pisma i mnie opowiedzieć potem, co w nich wyczytał. Jakoż z jego prawdozdawstwa pokazuje się, że w pierwszym dziele pod tytułem „Rozprawa o rzecznikach“ twierdzi, że lubi i uprawia wymowę, dowodzi bardzo gruntownie, że kto chce publiczność o czym prze-

konać, powinien dobrze mówić. Że Ciceron był wielce wymownym Rzymianinem i wielkim prawnikiem, że język łaciński znacznie się różni od polskiego, że umocowany prawnik powinien być przyjacielem swojego mocodawcy, a jeżeli nim nie jest to bardzo źle i inne ważne podobne odkrycia.

Drugie dzieło jest chórem jego mów pogrzebowych, a każdej mowy rozwiązanie kończy się tym aksjomatem, że „kiedy ten zaćny obywatel umarł, więc, ach, nie żyję!”

Ale najpiękniejsze jego dzieło jest „Historja kozacka“, bo na papierze welinowym, połączane karty i z kopersztychami. Pierwszy kopersztych zwłaszcza jest wielkiej wagi, bo wyraża samego autora zadumanego pod cieniem lauru, a Klio jemu podaje tablicę, na której wyryty następny napis: *Tu es Petrus et super hanc petram aedificabo*, a dla zrozumienia całkowitej soli tego napisu trzeba wiedzieć, że panu Sopoćce starszemu imię Piotr. Idąc spać otworzyłem tę książkę i napadłem na etymologię tego nazwiska „kozak“.

Pan Piotr Sopoćko tak ją wyprowadza, że w dawnych czasach obywatele na Rusi osiadli, biorąc do usług swoich synków poddańskich, przyjmowali dyrektorów, którzy ich uczyli czytać i pisać, tak dalece, że dom każdego obywatela był szkołą. Skąd każdy takowy wychowaniec nazwany był „kozak“, niby „co żak“, współuczeń. I to ma być *origo* kozaczyzny.

A co Mości Książę, czy to teoria nie gładka, przynajmniej przeczyć nie można jej nowości?

Jakkolwiekbydz przekonał mnie Grabowski, że dobrze mieć tych ludzi po sobie, raz, że składają rodzinę liczną, bo oprócz trzech braci rodzonych mają jeszcze pięciu stryjecznych, a to wszystko na zawołaniu pana Piotra, powtóre, że mają odgłos ludzi enotliwych i są niemi rzeczywiście, pomimo próżności aż do obłąkania posuniętej, a do naszej partji, ile możliwości, trzeba ludzi poczciwych przyciągać, bo właśnie partja przeciwna nam wyrzuca, że poczciwi ludzie od nas stronią. Nakoniec, że każdy z nich, ciągle po prowincji się kręcąc, ich zdanie tuzinem głosów wrzaskliwie powtarzane nie może nie zrobić jakiegoś wrażenia na umysłach, a nadewszystko każdy Sopoćko ma dar szczególny, że może godzinę i dwie plić bez sensu, bez uszkodzenia swoich piersi, zdolność nielada w kraju, którego organizacja opiera się na zjazdach, na deliberacjach publicznych, na zbiorach tłumnych, jednym słowem na gadaninie, a tymsamym gdzie korzystniej wiele mówić, niż dobrze mówić.

Ale panowie Sopoćkowie już są nasi, bo panu Piotrowi zrobiłem nadzieję, że otrzyma kasztelanją, do której się pali, nie zaniedbawszy unosić się nad siłą jego rozumu i wdziękami jego pisowni. Drugiemu uręczyłem, że jest wielkim poetą, trzeciemu wzmówiłem, że jestem poruszony głębokością i trafnością jego zdań, ich bratu stryjecznemu, który ma pretensją do piękności i elegancji, a który *notabene* ma turniure szlifirza, powiedziałem, że w poruszeniach swoich ma coś lorda angielskiego. Wszystkim im, że nie

mogę dość podziwiać ich skromności, że wolą ukrywać się w zaciszu wioski, niż zaszczyt przynosić swojej prowincji, okazując stolicy tak dzielnych subiektów, właśnie w czasie, kiedy pora nadeszła myśleć o Odrodzeniu Ojczyzny. Zgoła, że jako pająki z wnętrzków swoich usnuli siatkę, z tą tylko różnicą, iż sami w nią się wplątali, a ta siatka jest próżność.

Jednak w tej tłuszczy ludzi gminnych usposobień, a którym jednak podchlebiać musiałem, znalazłem człowieka wyższego ukształcenia, znakomitego rodu i co rzadko w zapadłej prowincji, człowieka dobrego towarzystwa, a który się brata z istotami w każdym względzie niższymi od siebie, jedynie przez dziecianną próżność, przez wygórowaną miłość własną, której właściwego pokarmu wynaleść nie umie. Jest to pan Bohun, staroście mozyrski, pan szlachcic, demokrat z hrabiowską koroną. Tłumaczy się z łatwością w kilku językach zagranicznych, jest utalentowany, grzeczny, trochę artysta, trochę literat, wykwintnego obejścia się, a brnie w najgorsze towarzystwo, dlatego tylko, że go może sobą zajmować.

Zajmować sobą, o to jest celem jego życia i temu celowi wszystko poświęcić gotów. Dla niego niema doboru ludzi i sposobów jakimi ściągnąć może ich uwagę, byle ją otrzymał, wszystko już mu się staje obojętnym. Nie domaga się wyłącznie pochwał, o nie! Można go prześladować, szydzić z niego w żywe oczy, na wszystko pozwoli, byle nie być zapomnianym, byle on, a nie kto inny był na placu.

Czy to interes prawny, wprasza się na pośrednika, czy to jarmarkowy, wprasza się na sekundanta, małżeństwo się kojarzy, on biegnie na swata, małżeństwo się rozrywa, on leci z radą gotową, pogrzeb obywatela, o życie, że na nim wystąpi z mową. Wszędzie jego pełno, byleby tylko jakąkolwiek mógł wygrać rolę. Żaden gończy lisa nie wytropi z taką zręcznością, z jaką on wyszukuje uszów gotowych do wysłuchania jego gawędy; byle mu się wygadać, mniejsza o to jeżeli właściwie lub nie.

I tak towarzyszowi pancernego znaku będzie rozprawiał o prawie kanonicznym, a prowincjałowi Jezuitów będzie przytaczał wiersze erotyczne.

Kiedy wchodzi, kiedy mówi, kiedy je nawet, nie zaniedbuje szukać efektów i stąd jest w ciągłych poruszeniach, w ciągłych pantomimach. Pisuje i wiersze i prozę, ale bez pretensji odgłosu w potomności, jemu o to idzie, ażeby temi tworamiz zatrudniać pierwsze uszy współczesne, które napotka i wszystko, co kiedykolwiek napisał, wydobywa jakby z rękawa, taką zabójczą pamięcią został obdarzony od Opatrzności. Zresztą kogo widzi, chwali go w żywe oczy z zapalem, każdemu wmawia, że ma go za wielkiego męża, żeby w nagrodę niewyczerpanego podchlebstwa otrzymać powolnego słuchacza.

Grabowski ciągle z niego przedrwnkuje, ale szczerze go lubi i nic pewniejszego, że pod względem charakteru trudno go nie lubić, bo jeżeli czasem znudzi, nigdy nikomu nie zaszkodzi.

On spoczątku trzymał z partją Radziwiłłowską, dokąd go wiazały i pociągi rodu i może nawet przekonanie, ale że wodzowie tej partji, ludzie zbyt skreśleni, niedość cenili jego zdadność, że beletryzm u nich jest w pogardzie, obrócił się do strony królewskiej, gdzie Grabowski mu robi nadzieję, że się lepiej na nim poznają. I nic pewniejszego, że królowi się podoba i znajdzie wstęp do czwartkowych obiadów, bo jest przyjemnym w towarzystwie, póki się nie wypróżni, bo wtedy staje się nieco uciążliwym. Stąd nie chciałym się pisać na codzienne z nim obcowanie, ale radbym co tydzień jeden całkowity wieczór z nim przepędzić.

Jakkolwiekbaż pan Bohun okazał mi się w tym zgromadzeniu jako perła w gnoju. Inni reformatorowie prowincjonalni, obnażeni z poloru wielkiego świata, tak jak z rodzimej rzeczywistości, ciężą mnie jak kamień uwiązany do szyi, tymwięcej, że muszę ciągle być niemi zajęty. Wasze Sarmaty, stateczni wyznawcy przesądów podaniem przekazanych, noszą na sobie jakieś cechy godności i życia, których nigdy nie okażą uczucia wyrozumowane, lub pożyczone od obcych rozumów.

Jestem dalekim od podzielenia przesądów mojego brata i jemu podobnych, jednak z nich samych nie odważylbym się szydzić. Bo w nich jest jakaś dobra wiara, jakieś przekonanie razem naiwne i niezłomne, że bez najmniejszego wahania i życie i szczęście oddaliby zań w ofierze. My przeciwnie umiemy poznać wiotkość ich zasad, siłą rozumu i myślenia zdolaliśmy pokruszyć te spadkowe więzy, które nas krępowały, a które jedno pokolenie drugiemu odkazywało, coraz silniejszy hart im nadając. Ale z drugiej strony jeszczęśmy dotąd niczym nie zastąpili to, co usiłujemy obalić. Jesteśmy potężni przecznicy, ale najnędrniejsi twierdźciele. Nasze, mniemamy, zasady są tylko zaczepką naprzeciw tamtych i nic więcej, bo, gdyby nie było czemu przeczyć w cóżby one się same obróciły. Wolter pomimo ścistej przyjaźni, jaką go zaszczyca mądry i wielki Frydryk, nie mógł dosiedzieć w Berlinie, ledwo nie oszalał z nudów, dlatego, że wszyscy, z którymi żył na tym filozoficznym dworze, podzielaając jego zdanie, nie było z kim się sprzeczać.

Może przyszłość wyrobi jakieś nowe a stateczne zasady, ale podziśdzień w tym natłoku przeczeń, składających filozofją dzisiejszą, jakkolwiek nasze pociągi ku nim się skłaniają, nikt dla nich nietylko życia, ale nawet najmniejszej wygody życia, nie poświęci. Pomimo tego niedowiarstwo wielkiego świata z orszakiem powabów tegoż świata nieodstępujących, jest pociągające. Ale ileż ono jest ohydne i wstrętne między parafjanami, usiłującami nas małpować, a którzy w żywe oczy wystawują nam nasze własne karykatURY.

O! milszy mi jest widok naszych sodalisów skromnych, grzecznych, nieufnych w sobie, każdemu przed sobą cugle puszczających, a jednak w niektórych zawodach gruntownie uczonych, niżeli tych żaków, co mając siebie za odrodzonych w nauce, zarozumiałością

swoją kaliczą rozsądek towarzyski, odwracając go od szacunku rzeczy rzeczywiście szacownych; tych żaków, mówię, dla których wszelki porządek społeczny jest nieznośnym, bo w każdym poziomie tylko stanowisko otrzymać mogą. Jednym słowem tych próżniaków, co nie umieją patrzeć na świat rzeczywisty, tylko przez okulary jakichś marzeń, jakichś teorjów źle pojętych, a które gdyby nawet dały się zastosować, ichże samych w perzynęby obrócili. Jeszcze raz powtarzam, wolę mojego brata, to to Sarmata prawdziwy, plód pokoleń, a tak ściśle zjednoczony z przekazaniami mu podaniami, że bez zniszczenia jego jestestwa od nich odłączyć go nie można. Patrząc na jego oblicze, zawsze przychodzi mi na myśl wiersz naszego patrjarchy:

Si je n'etais Cezar, j'aurois été Brutus.

Brat mój i ludzie do niego podobni, są to nieporuszone głązy, po których wichur czasu przechodzi, nie zostawując śladu. Ci, co bez rozwagi, bez wiadomości dostatecznych lgną do nas przez samolubstwo, przez lekkomyślność, nakoniec za popędem mody, są jak żdzbla słomy z korzenia wyrwane, jak liście oschłe w jesieni, których wir wieku porywa i niszczy. Jednakże przyszłość do nich należy, bo duch czasu cofnionym być nie może. Skłonności, wdzięczność, honor, wszystko mnie wiąże do króla, pana i dobroczyńcy mojego. Tuszę, że mnie nie obwini o niewywiązanie siebie z obowiązków poddanego i sługi.

Co tylko mnie polecił, już prawie jest uskutecznione. Wkrótce zawiążą dyssydenci konfederacją w Słucku, a ta wyleczy naród od ciemnoty i barbarzyństwa. Konfederacja radomska, która zjednawszy sobie pomoc carowej, dziś samowolnie włada całym narodem, musi się rozwiązać, a na gruzach potęgi magnatów opiekuńcza potęga króla wznieść się musi, ale też przyznać trzeba, że sama wpadła w nasze ręce, bo gdyby naczelnicy tej partji magnackiej nie byli podnieśli sami kwestji o dyssydentach, milczenie i uleganie bez nadziei powstania byłyby naszym udziałem.

Wszystko albowiem mieli po sobie oprócz rozumu, który nam pozostał. Niechże ten rozum nam toruje drogę, po której rydwan polityczny naszego narodu ma postępować. A jak się rozpędzi, biada temu, kto zechce, rzucając się między jego koła, bieg jego zatrzymać.“

Pozatem w ostatecznej redakcji tego tomu i następnych napotyka się nieustannie na mniejsze lub większe przeróbki stylistyczne i rzeczowe, świadczące o pracy autora nad wygładzeniem powieści. Dlatego też, aby przykładowo przedstawić różnice zachodzące między pierwszą a ostatnią redakcją, przytoczymy tutaj dwa wyjątki z tekstu rękopisu i druku *Listopada*¹.

¹ Przy porównaniach przytaczamy tekst powieści z wydania ś. p. prof. Konstantego Wojciechowskiego, ogłoszonego jako Nr. 61 serji I *Biblijoteki Narodowej* (Kraków, 1923).

Rękopis t. I, s. 75—79.

„Wiadome są wypadki polskie wkrótce po koronacji króla nastąpione; i jak książę Karol Radziwiłł srodze był przepłacił opór swój przeciw królowi Stanisławowi. Gniew carowej, wzniecony intrygami króla i książąt Czartoryskich, w jednej chwili wyrzucił go z urzędów, z majątków, z Ojczyzny, robiąc banitą i tułaczem najpotężniejszego w narodzie magnata.

Ale gniew Katarzyny był wywołany na słabości kobiety, a monarchini wkrótce powróciła do zdrowych zasad polityki. Społeczności silne, a tym samym silnie przedstawione swojemi rządami, nie są łapczywe do wojny; społeczności, których żywotność jest z natury słabą, albo zepsuciem obyczajów narodowych zwątloną, są skore do wystawienia przyszłości swojej na losy. Temu ogólnemu prawu historia niewiele wyjątkowości pokazuje. Potężne mocarstwa patrzą bez zawiści na kwitnące w ich sąsiedztwie mniej potężne władztwa, lubo łatwo podehlebiali sobie by mogły, ich kosztem własną potęgę powiększyć. Nawet przeciwnoległość form rządowych nie staje na przeszkodzie przyjaźni sąsiedzkiej, byle one były stateczne, bo na tym jedynie zasadzać się może stateczność stosunków politycznych z sąsiadami. Jedynowładztwo potężne jako nie może obojętnie widzieć monarchją sąsiednią przekształcającą się w republikę, tak z niemniejszą niechęcią uważać będzie republikę zamieniającą się w jedynowładztwo. Bo każda odmiana zupełna w formie politycznej stowarzyszenia, jakkolwiek usprawiedliwić się daje

Druk s. 106—109.

„Zapisane są dokładnie w historii wypadki w Polsce wydarzone po śmierci Augusta III. Naród po każdym bezkrólewiu musiał opłakiwać konwulsję bezrządu. I wtedy na dwa stronnictwa się podzielił: jedno z nich prowadzili wujowie królewscy, na czele drugiego stał książę Karol Radziwiłł.

Zbliżała się chwila, przed którą narody gasnące już ani umieją, ani mogą sobie władać. W takich okolicznościach samo z siebie władza do obcych przechodzi. Książę prymas Łubiński i książę kanclerz litewski, jedyne organa legalne, któremi naród do obcych rządów mógł przemawiać, usilnemi prośbami wyjednali od sąsiednich mocarstw wprowadzenie ich wojska, dla utrzymania przeciw fakedom swobodnej elekcji Piasta. Napróżno książę Karol Radziwiłł opierał się; Stanisław August jednomyślnie obrany został od tych wszystkich, co zebrani byli pod Wolą, a pobudzony wujami swoimi, ludźmi mściwymi, długi czas nie przestawał ścigać naczelnika zwyciężonego stronnictwa. W stosunkach dyplomatycznych król nie przestawał wystawiać księcia przed dworami sprzymierzonymi z Polską jako barbarzyńcę uciskającego spokojnych obywateli, utworzywszy zgraję, która go otacza, zgraję złożoną z wicherzycieli opierających się wszelkiemu porządkowi. Tak księcia oczerniwszy, a odjąwszy mu wszelką nadzieję wsparcia nawet od dworu z nim związanymi krwi połączonego, stronnictwo króla zemstę swoją nad nim do ostatniego kresu posunęło. Wyzuty z urzędów, z majątku,

rozumowaniem teoretycznym, w praktyce powołuje zaburzenia, konwulsje wewnętrzne i utrudzenie wszelkich stosunków z sąsiadami. Można by dowieść, że państwa potężne w żywotności swojej, jeżeli nad miarę rozszerzyły się podbojami, te podboje nie były przez nichże samych przywołane, ale jedynie przez złe wyrachowaną, zaczepną niechęć sąsiadów.

Katarzyna II nie w chęci wzniesienia siebie na ruinie Polaków posłała wojska swoje na grunt Rzeczypospolitej dla utrzymania elekcji Piasta. Była do tego upoważniona usilnymi prośbami księcia prymasa Łubieńskiego i księcia kanclerza Czartoryskiego, jedynymi organami, którymi Rzeczpospolita przemawiać mogła urzędowo do obcych mocarstw. Mogła więc łącznie wierzyć, że, dogadzając ich woli, dogadza woli całego narodu, mniej garści wicherzycielów, na czele których intrygi adherentów Stanisława wystawiły jej księcia Karola Radziwiłła. Ale wkrótce wycofnęła się z swego błędu, poznała w Poniatowskim i w jego winach nowatorów usiłujących do góry nogami przewrócić wszystkie instytucje narodu, organicznie wyrobione z jego żywiołów, by je zastąpić teorjami pisarzy zagranicznych, umysłów jaknajmniej praktycznych. A w księciu Karolu męża cnotliwego, obrońcę gorliwego dawnych maksym, a który był bożyszczem nie garści wicherzycielów, ale wszystkich obywatelów niezepsutych. Dopuszcza więc ona tym szanownym mężom zawiązać pod jej powagą konfederację radomską, która zdjąwszy banicją z księcia Radziwiłła, i wróciwszy mu przemocnie zabrane

najpotężniejszy, najpopularniejszy magnat został banitą, i możeby nim był do końca żywota swojego, gdyby Stanisław August, którego całkowite panowanie było pasmem intryg, sam siebie w nich nie był uwikłał. Zdało mu się, że zdoła poróżnić między sobą mocarstwa, które jego królestwo okrążały. Najpotężniejszemu z nich, lubo wszelkimi czynnościami i oświadczeniami okazywał najuniżeńszą powolność, przecie się naraził: usiłował albowiem wejść w ścisłe stosunki z innem mocarstwem i zawiązać tajemne układy, by otrzymać rękę tamecznej królowej; lecz nietylko, że ta nadzieja spełzała na niczem, ale jeszcze zdradzonym został przed potęgą, której wszystko był winien; ale na tem najlepiej wyszedł książe wojewoda, bo mocarstwo, oburzone niewdzięcznością i chytryością króla, dopuściło Radziwiłłowskiemu przyjacielom zawiązać konfederacją w Radomiu.

Ta konfederacja silna taką pomocą uchyliła dekret skazujący księcia na banicję, powróciła mu urzędy i dobra i ogłosiła go swoim marszałkiem, a w Rzeczypospolitej aljancji, uznawszy w tej konfederacji, wkrótce zamienionej na sejm, pełność władz narodowych, odnowili z nią aljans, a jej marszałkowi powierzyli nawet dowództwo wojsk swoich, konsystujących bądź w Polsce, bądź w Litwie.“

urzęda i dobra, ogłosiła go swoim marszałkiem, a carowa, chcąc go przekonać o swoim szacunku, ozdobiła go znakami ś-go Jędrzeja i jako aljantka Polskiej, przedstawionej przez tą konfederacją, zamienioną w sejm, powierzyła mu naczelne dowództwo wojsk swoich konsystujących w posiadłościach Rzeczypospolitej.“

Rękopis t. I, s. 349—350.

„Życie wiejskie, strzecha rodzinna, obyczaje prostackie, bardzo piękne w poezji, ale ich rzeczywistość dla mnie nie ma powabów, a tylko im się oddawszy, można żyć po chrześcijańsku. Religja na wielkim świecie jest kuglarstwem, a nie więcej. Szacuję filozofów, bo każdy uczynek usprawiedliwiają swój. Ale cóż powiedzieć o nabożnisiach wielkiego świata? — Tak jak tamci oddają się rozpuście, a głoszą siebie za wyznawców opinji, która potępia rozpustę. W Paryżu, w Warszawie dewotki póki mogą tak mają amantów, jak i filozofki. Wszędzie jest zgodność w postępkach; cała ludzkość w słowach. Ksiądz dworak, rachując krocie w beneficjach, ma siebie za czystego na sumieniu, bo piorunuje na łakomstwo i pod niebiosa wynosi ubóstwo chrześcijańskie. Drugi całe życie płuży na zabiegach, żeby otrzymać urząd, którymby mógł niższym od siebie natrzęsać, ale żadnego nabożeństwa nie opuści i ciągle gada o pokorze. Trzeci rozprawia o miłości chrześcijańskiej, a na nikim czci ni wiary nie zostawuje. To wszystko nie dla mnie, mości książe, zawsze moje postęпки stosować będę do moich wyznań, a to do czego czuję pociąg, tego potępiać nigdy nie będę.“

Druk s. 139—140.

„Życie wiejskie, strzecha rodzinna, obyczaje prostackie są to rzeczy bardzo piękne w poezji, ale ich rzeczywistość dla mnie niema powabów, a tylko im się oddawszy można żyć po chrześcijańsku. Religja na wielkim świecie jest kuglarstwem, a nie więcej. Szacuję filozofów, bo każdy z nich może usprawiedliwić swoje postęпки przez opinję, które go shołdowały. Ale cóż powiedzieć o nabożnisiach wielkiego świata, którzy tak postępują jak tamci, a ogłaszają siebie za wyznawców opinji, też postęпки potępiającej? To nie dla nas, mości książe; honor nie dozwala nam kłamstwa, jakabykolwiek była jego forma; nasze postęпки powinny zawsze stosować się do naszych wyznań, i do czego czuję przyrodzony pociąg, tego nigdy potępiać nie będę.“

Większych zmian dokonał Rzewuski przy przeróbce tomu drugiego. W zachowanej redakcji rękopiśmiennej rozdział I—IX napisał powieściopisarz w formie listów. Rozdziały I, II i III są listami starosty Ludwika Strawińskiego do hr. Mycielskiego, IV listem ostatniego do starosty, V i VI znowu obejmują korespondencję Ludwika z hrabią, VII jest listem kasztelanowej inflanckiej do Gintowta, VIII starosty do Mycielskiego i IX Gintowta do kasztelanowej. Przed oddaniem do druku zmienił autor formę rozdziałów I—V, oraz VI i VII, przerabiając je na zwyczajne potoczne opowiadanie. Zmiana formy literackiej nie wpłynęła jednak na istotną treść powieści, która w rękopisie i w druku, nie licząc drobnych opuszczeń czy uzupełnień i wygładzeń stylistycznych, pokrywa się z sobą; tu i tam przedstawione są te same wypadki i w tym samym porządku.

Tom trzeci w redakcji rękopiśmiennej najmniej odbiega od druku, w nim bowiem nie wprowadził już Rzewuski żadnych większych zmian.

Warto wspomnieć, że pisarz początkowo nie komentował treści powieści swymi objaśnieniami autorskimi; niektóre z nich pojawiają się dopiero w tomie drugim rękopisu, a w tomie trzecim pokrywają się już z objaśnieniami, zamieszczonemi w pierwszym wydaniu *Listopada*, chociaż nawet w tym ostatnim wypadku i one uległy pewnym wygładzeniom stylistycznym, a nawet w niektórych wypadkach znacznie się rozrosły.

Tak w ogólnym zarysie przedstawiałyby się różnice, zachodzące między pierwszą a ostatnią redakcją *Listopada*. Omówienie rękopisu Rzewuskiego uważaliśmy za konieczne chociażby z tego względu, że dorzuca ono pewną garść szczegółów do twórczości Rzewuskiego. Nie był on pisarzem, który napisawszy jakiś utwór, oddaje go odrazu do druku, ale jeszcze długo musiał pracować nad jego wygładzeniem i stylizacją. Podobnie jak z *Listopadem*, musiało być także i z innymi płodami jego twórczości.

Kraków

Stanisław Szczotka